

Paweł Paliwoda: Pacyfizm i dekonstrukcja

Ideologia oświecenia jako krytyki zapewnia jej luminarzom pracę do końca świata. Spirala dekonstrukcji będzie się wznosić co najmniej tak długo, jak długo istnieć będą opinia publiczna i zdrowy rozsądek – pisał Paweł Paliwoda w książce „Kambei Shimada”, wydanej w 2015 roku przez Teologię Polityczną.

Wielbiciele pokoju w czasach zimnej wojny głosili na Zachodzie hasło „Better red than dead”. Zważywszy na ówczesne zagrożenie ze strony Sowietów, nie była to postawa rozważna. Jednak dzieci kwiaty robiły swoje, czyli zabiegały o pokój i seks na łonie przyrody, co zalecał Herbert Marcuse, który Sokratejskie *logos i ergo* przekształcił w „logos i eros”. Marcuse nie był jednak naiwny – w przeciwieństwie do większości swoich naśladowców. W połowie lat sześćdziesiątych XX wieku został obwołany naczelnym ideologiem kontrkultury. Zaszczyc ten przyjął bez oporów, a funkcję pełnił do czasu, gdy wyszła na jaw jego współpraca z amerykańskim – czyli reakcyjnym – wywiadem podczas drugiej wojny światowej.

Do momentu kompromitacji Marcuse zdążył koncepcjami rewolucji dokonywanej rękami murzyńskiego lumpenproletariatu wyrobić sobie markę na intelektualnych i artystycznych salonach. Z jego rąk pałeczkę lidera młodzieży i uciskanych mniejszości przejął Jerry Rubin. Jednak ani Marcuse, ani Rubin – przemieniony potem w trywialnego japiszona

– na kontrkulturze i pacyfizmie nie stracili. Zdobyli nazwiska i pieniądze. Straciły dziesiątki tysięcy młodych ludzi ze zwichniętym albo wręcz naszprycowanym życiem.

Dzisiejsi młodociani – intelektualnie – pacyfiści są podobni – w obliczu islamskiego terroryzmu robią wrażenie „niefrasobliwych estetów” (postawa życiowa zalecana przez Richarda Rorty’ego). Im wartością wydaje się zresztą nie tyle sam pokój, ile ostentacja w okazywaniu sprzeciwu. To najniższy szczebel w hierarchii pacyfizmu. O piętro wyżej są egzaltowane humanistki głoszące tolerancję i łagodność wobec każdego nicponia. Postępowe panie profesorki nie cierpią przemocy. Strzelanie – nawet we własnej obronie – to okropna nietolerancja. Gdy spadają bomby, są bardzo, bardzo smutne. U nich pacyfizm to reakcja w stylu psa Pawłowa, ale osoby te nie są niemądre na wskroś. Przed samozagładą chroni je instynkt, który podpowiada, że trzeba obserwować i naśladować ludzi z trzeciego szczebla pacyfizmu, eksponentów wyższego oświecenia.

*Wiek XX okazał się czasem
filozoficznej porażki
„umysłów krytycznych”, które
nie umiały rozpoznać i
ujawnić własnych ograniczeń*

Trzeci szczebel to
cynicy, tacy jak
Marcuse czy Rubin.
To zręczni
wykonawcy
postulatu w Polsce
wyartykułowanego
przez Leszka

Kołąkowskiego w tekście *Kapłan i błazen* – permanentnej krytyki tego, co oczywiste, atakowania tego, co kanoniczne. Jakkolwiek zalecenia Kołąkowskiego marksisty nie wolne były od typowych dla lewicy uproszczeń, to i tak nie zostały przez lewicową elitę zrealizowane w

całości. „Błazen jest tym, który wprawdzie obraca się w dobrym towarzystwie – pisał Kołakowski – ale nie należy do niego i mówi mu impertynencje”. Tymczasem zarówno polskie, jak i zachodnie umysły krytyczne nie tylko salon współtworzą, lecz także nie potrafią spojrzeć nań krytycznym okiem.

Wiek XX okazał się czasem filozoficznej porażki „umysłów krytycznych”, które nie umiały rozpoznać i ujawnić własnych ograniczeń. Zamiast tego intelektualna lewica stworzyła ideologię – w ścisłym znaczeniu *Ideologii niemieckiej* Engelsa i Marksa – gloryfikując własne środowisko jako klasę ekskluzywną, pozostającą w permanentnym poznawczym sporze ze społeczeństwem. Społeczeństwo jest zasobnikiem potocznych „mądrości”, czyli stereotypów i przesądów, które demaskuje umysł krytyczny. Intelektualista marksistowski w miejsce zdemaskowanych „prawd” wprowadzał teorię naukowego socjalizmu. Intelektualiści postmarksistowscy i ponowocześni nie mają już czego wprowadzać, więc poprzestają na komfortowej negacji. W Polsce klasyczną apologię klasy błazeńskiej przedstawiła Teresa Hołówka w zdumiewającej pracy *Myślenie potoczne* – pracy, która dlatego nie stała się biblią lewicowych liberałów, że została wydana za wcześnie – w 1986 roku.

W istocie ideologia pseudobłazeńska jest strategią nieustannej prestiżowej i materialnej samoafirmacji. Jest metodą na życie, i to dobre życie. Rzekoma krytyczność jest tu procedurą dystansującą uprzywilejowaną kastę treserów od społeczeństwa. Przygotowuje ona kadry zarówno do *Roweru Błazeja*, na zagraniczne stypendia, jak i do katedr socjologii – zależnie od wieku, w jakim są członkowie rodziny wpływowego umysłu krytycznego. Umysł ten w zależności od sytuacji

potrafi wyczuć słuszny kierunek i metodę demistyfikacyjną (faszyzm, prawica, Kościół, zwolennicy klasycznej koncepcji prawdy, zdrowy rozsądek itp.).

Ideologia oświecenia jako krytyki zapewnia jej luminarzom pracę do końca świata

Przedstawiciele trzeciego szczebla to ludzie zręczni i bezwzględni, świadomi, że ich metoda prowadzi do zatarcia reguł

społecznego współżycia i wystawia „szarego człowieka” (ulubione określenie Teresy Hołównki) na przemoc i poniżenie. Czy dyrektor Rottenberg rzeczywiście była taka naiwna, żeby nie wiedzieć, że stosowana przez nią w Zachęcie metoda prowokacji prowadzi do eskalacji obscenów? Czy wielbiciel dekołtunizacji według recepty de Sade’a czy LaVeya nie boją się skutków swoich działań? Najwyraźniej nie, w końcu to nie ich dotyka satanizm na serio potraktowany i nie ich wrażliwość obraża krucyfiks włożony do nocnika.

Ideologia oświecenia jako krytyki zapewnia jej luminarzom pracę do końca świata. Spirala dekonstrukcji będzie się wznosić co najmniej tak długo, jak długo istnieć będą opinia publiczna i zdrowy rozsądek. Obok naiwnej młodzieży i matołkowatych humanistek istnieją bowiem i tacy pacyfiści, których aktywność wyraża się w permanentnym sceptycyzmie, będącym (wbrew opinii Ryszarda Legutki) w części tylko nawykiem, ale częściej – świadomym dyskontowaniem pozy błazeńskiej.

Żeby w dekonstrukcji osiągnąć sukces, nie można dekonstruować byle jak. Należy to czynić śmiało, ale nie za śmiało. To prawda, że opinia publiczna żąda odwetu za atak na USA, ale krytykowanie akcji w Afganistanie już dziś to dla pacyfistów trzeciego szczebla falstart. Są mistrzami konfliktu bezpiecznego, dlatego jeszcze poczekają. Wystąpią wraz z wyraźnymi objawami społecznego znużenia tym, co w prasie amerykańskiej enigmatycznie określa się mianem „wojna z terroryzmem”. Co innego hiperautorytety z czwartego, najwyższego szczebla pacyfizmu. One nie muszą się niczego bać. Tutaj odnajdujemy Zygmunta Baumana.

Bauman niewątpliwie ma wiele cech karierowiczów trzeciego szczebla. Będzie się więc kurczowo trzymał swojej dogmatyki, której zawdzięcza pozycję i prestiż. A mimo to można odnieść wrażenie, że jego myśli oprócz cech zardzewiałej katarynki i cynika błazna odzwierciedla coś więcej. Bauman jest człowiekiem naznaczonym piętnem historii, który powziął myśl o zastosowaniu technik błazeńskich wszelkich potencjalnych źródeł nietolerancji.

Dzisiaj Bauman robi to samo, co kiedyś, ale nieżywe ideą pokoju lub „ideologią” – jak napisał o przeszłości znanego dekonstrukcjonisty Ryszard Legutko. Mam wrażenie, że cele te od dawna nie są – jeśli w ogóle kiedykolwiek były – dla Baumana samoistne. Jego misja instrumentalizuje umysłowe pozy pacyfistów błaznów, przez co swoim autonomicznym zadaniem czyni dogłębne przeoranie cywilizacji zachodniej w celu odnalezienia i unicestwienia wszelkich zarodków nowej Zagłady. Antysemityzm pojawia się znienacka – także tam, gdzie nikt się go nie spodziewa. Dlatego nie wolno czekać, aż się zaktualizuje. Należy już teraz tropić i niszczyć wszystko, co wydaje się mieć

najlżejszy, pozornie najodleglejszy zawiązek z rasizmem. Ludzie tacy jak Zygmunt Bauman wykorzystują unikatowy – tak zdają się sądzić – moment w historii, gdy pojawia się jakoby szansa definitywnej likwidacji wszelkich realnych i pomyślnych źródeł zła. Tego zła, które najpełniej wyraziło się w Holocauście.

Mamy tu do czynienia z utopijnym konceptem „ostatecznego rozwiązania” *à rebours*. To idea inspirująca do próby przenicowania zachodniej cywilizacji do gołej skały w poszukiwaniu przetrwalników rasizmu. Wiemy jednak, że zbyt głęboka orka prowadzi do uszkodzenia albo nawet zniszczenia pola uprawnego. Właśnie z takim procesem – jak sądzę – mamy do czynienia w obszarze cywilizacji zachodniej. Tymczasem dla Baumana takie konsekwencje są najbardziej pożądane. Wyjałowienie podłoża jest gwarancją pełnego wykorzenienia, czyli ostatecznego odcięcia współczesności od tradycyjnych tożsamości, ze swojej natury grawitujących ponoć ku antysemityzmowi. Jest to koncepcja wyeliminowania przemocy w rodzinie techniką likwidacji samej rodziny.

Bauman był i jest fundamentalnie antysystemowy, orze bowiem głęboko, przez co wywraca porządek Zachodu, niczym skibę, do góry nogami. On i jemu pokrewne środowiska realizują cel bez porównania ważniejszy niż neutralizacja zagrożenia islamskiego. Realizują wizję idealnego państwa, w którym zło rasizmu zostało wytępione w sposób absolutny. Rezygnując z utopii kosmopolityzmu marksistowsko-leninowskiego, Zygmunt Bauman chce nas przesiedlić do krainy postępowych Lotofagów, w której oprócz animozji etnicznych pamięć gubi także składniki cywilizacji, narodowej i religijnej identyfikacji.

*Bush rozbudził w
Amerykanach patriotyzm i
skonsolidował obywateli USA
jako wspólnotę narodową*

Gdy to mamy na
względzie, przestaje
dziwić rozmach, z
jakim Bauman kreśli
w
pracy *Nowoczesność
i Zagłada*,

poświęconej genezie Holocaustu, profil faszysty antysemitę. Okazuje się, że składają się nań wszystkie konstytutywne fenomeny zachodniej cywilizacji: chrześcijaństwo, Oświecenie, filozofia, nauka, technika, naród. Najbardziej niebezpieczne ma być nowoczesne państwo, którego domniemana omnipotencja zestrojona z immanentnym jakoby w cywilizacji chrześcijańskiej antysemityzmem zawsze grozi masową, zbiurokratyzowaną przemocą. W tym miejscu dochodzi do istoty Baumanowskiego pacyfizmu.

Reagując stanowczo na atak 11 września, George W. Bush i Stany Zjednoczone z punktu widzenia Baumana popełniają cztery wielkie grzechy.

Po pierwsze – choć ich intencją jest skuteczniejsza walka z terroryzmem, potęgują prerogatywy państwa, gdyż projektują silne ingerencje w funkcjonowanie społeczeństwa. O tym Bauman tak pisał we wspomnianej książce:

Można przypuszczać, że sytuacje wymagające bezpośredniej interwencji państwa w układy społeczne mogą znowu mieć miejsce w niezbyt odległej przyszłości – a wówczas wypróbowane i

zakorzenione schematy rasistowskie mogą znów stać się poręcznym narzędziem.

Po drugie – Bush rozbudził w Amerykanach patriotyzm i skonsolidował obywateli USA jako wspólnotę narodową.

Po trzecie – prezydent USA wygłasza oceny moralne w imieniu wspólnoty, czym legalizuje aksjologiczny monopol wspólnoty, która – zdaniem Baumana – w cywilizacji zachodniej z natury eliminuje pozaspółeczne źródła moralności, czyli stanowienie tzw. własnych wartości przez konkretnych ludzi.

Po czwarte – George W. Bush wygłasza oceniające sądy kategoryczne, które stanowią wyraz wiary nie tylko w wysoką jakość własnej zbiorowości, lecz także w niekwestionowaną wyższość jej norm w stosunku do norm wspólnoty innego typu. Tego rodzaju kategoryczne oceny rodzą pogardę i agresję. Bauman:

Tylko ze specyficznego charakteru zachodniego społeczeństwa [...] praktykującego nawracanie poprzez wyprawy krzyżowe, można było wynieść przekonanie, które pozawala widzieć narzucanie pewnych reguł jako proces humanizacji, a nie tylko jako zastąpienie jednej formy humanizacji przez inną.

U Zygmunta Baumana obawa przed dżihadem jest mniejsza niż przed restytucją lub wzmocnieniem domniemanych źródeł zachodniego rasizmu. Jego krytyka Ameryki jest przejawem konsekwencji, a nie demencji. Bauman ma własne cele i nie musi poprzestawać na

cynicznym konformizmie swoich kolegów. To nie on ich, lecz oni jego obserwują jako miarę ideologicznej poprawności dla niższych szarż błazeńskich. Ale wymagać od cyników zbyt wiele nie można. I tak robią dużo: stanowią na uniwersytetach, w mediach i środowiskach opiniotwórczych zaporę przed kulturowym konserwatyzmem.

Sprzeciw wobec działań Ameryki nie zawsze jest podyktowany tępotą czy nawykami. Metoda autokreacji stosowana przez lewicowych intelektualistów w przeszłości jest skuteczna i dzisiaj. Tę „krytyczną” metodę, która gwarantuje swoim najsprawniejszym użytkownikom wygodne życie, nazywam filozofią konfliktu bezpiecznego. Nowa lewica i znakomita większość ponowoczesnych „myślicieli słabych” to cyniczni karierowicze, żyjący z nakręcania antykulturowej spirali. W jej konstruowaniu uczestniczą także osoby w rodzaju Zygmunta Baumana. Jednak ambicje tych ostatnich sięgają dalej – w Polsce co najmniej od połowy lat pięćdziesiątych XX wieku daleko wykraczają poza stanowiska w instytutach socjologii i mieszkania w alei Róż. Wciąż chodzi o fundamentalne wykorzenienie kultury i ludzkiej świadomości.

Nikt w Polsce nie zanalizował procesów dekompozycji kultury tak przenikliwie, jak Ryszard Legutko. To ten autor pisał: „Postmoderniści i pluraliści nie odwołują krucjaty na rzecz tolerancji ani nie są skłonni zmodyfikować swoich maksymalistycznych ambicji”. W wypowiedzi dla „Nowego Państwa” krakowski myśliciel potraktował jednak lewicę zbyt tolerancyjnie: przypisał jej jedynie oportunizm i głupotę. Tymczasem, aby zręcznie pomieszać dobro i zło, potrzeba czegoś innego. A trudno przecież zaprzeczyć, że lewica potrafi zręcznie posługiwać się czarcią chochlą. W przeciwnym razie książki konserwatywnych filozofów nie byłyby potrzebne.